

**SZAMPAŃSKA ZABAWA,
KTÓRA ZAMIENIA SIĘ
W PIEKŁO.**



WYJAZD NA WEEKEND

SARAH ALDERSON

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE WEEKEND AWAY

Copyright © Sarah Alderson 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2022

Redakcja: Joanna Kumaszczyńska

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: Matthew Hacker/Unsplash

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

Na twarzy Roba widać ewidentne przerażenie.

– Dasz sobie radę? – pytam z niepokojem.

– Tak, jasne – odpowiada. – Nic nam nie będzie. Jedź i baw się dobrze.

Marlow wierci się w jego ramionach i gdy wyciąga do mnie pulchne rączki, mam ochotę zmienić plany. Nie jestem pewna, czy Rob wie, na co się porywa, mimo jego zapewnień, że powinnam jechać i dobrze się bawić. Pierwszy raz zostawiam go samego z małą i chociaż weekend w Lizbonie z najlepszą przyjaciółką jeszcze niedawno wydawał się świetnym pomysłem, teraz żałuję, że się zgodziłam.

Ale za późno już, żeby się wycofać. Kate napisała właśnie, że jest w drodze na lotnisko.

Marlow czka, więc biorę ją na ręce i pozwalam, by lepkimi paluszkami chwyciła mnie za włosy.

– Pamiętaj, żeby ją karmić – zwracam się do Roba. – I kładź ją spać o odpowiedniej porze.

– Chyba sobie poradzę.

Całuję Marlow, ściskam jej cudowne pyzate policzki i

cmokam Roba w usta.

– Nie martw się – uspokaja mnie, widząc moją minę.

Kiwam głową i sięgam po walizkę. Ma rację. Wyjeżdżam tylko na weekend. To jedynie kilka dni. Przecież nic się nie stanie.

Może nawet się zresetuję.

Rozdział pierwszy

– Ja cię kręcę, Kate, jest boskie – mówię. Stawiam walizkę przy drzwiach i oszołomiona, wchodzę w głąb mieszkania, które przyciąga mnie jak płomień ćmę. Promienie słońca wlewają się do środka przez wielkie drzwi balkonowe. Ogarniam wzrokiem pomalowane na pastelowe kolory budynki, a w przerwach między dachami dostrzegam migotliwy błękit. To pewnie rzeka, która, jeśli dobrze pamiętam, nazywa się Tag. Zresztą bez względu na nazwę wygląda znacznie bardziej zachęcająco niż Tamiza w kolorze błota.

Kate staje obok mnie przy jednym z okien, które ciągną się od podłogi aż po sufit na całej długości pokoju. Ściska moje ramię i uśmiechnięta odwraca się do mnie.

– Niezłe. – Śmieje się, po czym rusza do walizek. – Dobra, gdzie reklamówka ze sklepu wolnocłowego? Imprezę czas zacząć.

Podczas gdy namierza butelkę Dom Pérignon, którą kupiła na lotnisku, ja otwieram drzwi balkonowe i wychodzę na zewnątrz. Dreszcz podniecenia przebiega mnie niczym prąd. Potrzebuję chwili, by dotarło do mnie, że to nie skutek kawy wypitej w

samolocie, lecz potajemna radość związana z poczuciem wolności. Czuję się jak więzień, który po latach drażenia tunelu wystawia głowę na zewnątrz i uświadamia sobie, że udało mu się zbiec. Z euforii kręci mi się w głowie.

W chwili gdy rozpoznaję to uczucie, ogarnia mnie jednak niepokój, który całkowicie je tłumi. Jak radzi sobie Marlow? Czy Rob pamiętał, żeby położyć ją spać o odpowiedniej porze? Wystarczy piętnaście minut spóźnienia i przez cały następny dzień mała będzie nie do życia. Czy Rob usłyszy ją, kiedy obudzi się w nocy? Zwykle śpi jak zabity. A jeśli nie zmieni jej pieluszki albo nasza córeczka dostanie wysypki? O Boże, a jeśli da jej nieprzekrojone na pół winogrona i Marlow się zakrztusi?

Odruchowo sięgam po telefon i przypominam sobie, że jest w torebce, którą rzuciłam gdzieś przy drzwiach. Powstrzymuję się przed znalezieniem go i napisaniem do Roba. Nie chcę być taką matką ani żoną. Rob sobie poradzi. Jest ojcem, który pomaga przy dziecku, i już wcześniej zostawał z małą. Ale najwyraźniej niepokoiła go perspektywa, że będzie z nią sam przez cały weekend. Nie, upominam się w duchu. Muszę przestać o tym myśleć i skupić się na sobie. Nie ma powodów do obaw.

Zamykam oczy i biorę głęboki wdech. Rozkoszuję się zapachem obcego miasta i muśnięciami ciepłego powietrza. Wraca cudowna ekscytacja. Przez najbliższe trzy dni będę się martwiła wyłącznie sobą. Będę jadła, co chcę, piła, co chcę, wylegiwała się w łóżku tak długo, jak chcę, i generalnie żyła tak, jak żyłam, zanim urodziłam dziecko, kiedy jeszcze nie wiedziałam, jaki to luksus móc wysikać się w spokoju albo jak fajnie jest nosić ubrania bez plam po wymiocinach.

– Proszę! – słyszę za plecami.

Odwracam się w stronę Kate, a ona wciska mi do ręki szampana.

– Na zdrowie! – mówi.

– Na zdrowie! – odpowiadam i stukamy się kieliszkami. – To niesamowite. – Wskazuję widok za oknem i mieszkanie. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jestem. – Gdy wychodzimy na balkon, rozglądam się; patrzę na eleganckie leżaki i zatrzymuję wzrok na stojącym w rogu kwadratowym sprzęcie. – Zaczekaj, to wanna z hydromasażem?

– Tak – potwierdza Kate. – Nie mówiłam ci?

– Nie. Gdybyś powiedziała, wzięłabym kostium kąpielowy.

– Nie potrzebujemy kostiumów. – Kate się śmieje i wraca do środka po butelkę.

Idę za nią i myślę, że kiedyś nie wstydziłam się swojej nagości, a teraz mogłabym się rozebrać przed Robem wyłącznie pod groźbą śmierci.

Tak wiele się zmieniło. Moje piersi są jak dwa wypełnione helem balony, które kiedyś chciały ulecieć w niebo, a teraz sflaczały i ciążyą ku ziemi. Brzuch też nie wrócił do formy sprzed ciąży i obrósł tłuszczem opierającym się wszelkim ćwiczeniom – no, ale pięć brzuszków tygodniowo to przecież żadne ćwiczenia – a bułeczki z czekoladą, które kupuję zwykle rano, gdy idę z Marlow do parku albo na spotkanie grupy młodych mam, nie ułatwiają zadania. Próbowалам ograniczyć cukier, odnoszę jednak wrażenie, że słodyczne to jedyne, co pozwala mi przetrwać spotkania grupy i napędza mnie przez dwanaście godzin opieki nad małą.

Nikt nie uprzedza przyszłych mam, jak trudne jest macierzyństwo i jak ciężko jest odzyskać dawną figurę, a już

na pewno nie robią tego te przeklęte celebrytki, które pozują w legginsach i kusych koszulkach dzień po porodzie. Podejrzewam, że nie do końca jest to prawda; mnóstwo ludzi twierdzi, że bycie rodzicem jest trudne, ale dla kogoś, kto nie ma dziecka, to czysta abstrakcja. To jak mówić komuś, że odsiadywanie dożywocia w więziennej izolatce stanowi wyzwanie. Człowiek może próbować to sobie wyobrazić, ale dopiero gdy trafi do celi i uświadomi sobie, że do końca życia będzie gapił się w ścianę, zrozumie, jakie to wyzwanie.

Podczas gdy Kate dolewa mi szampana, zerkam na nią i ogarnia mnie zakłopotanie. Jest taka elegancka i atrakcyjna w obcisłych džinsach wetkniętych w buty od Louis Vuittona i wydekoltowanej bluzce, która podkreśla jej jędrny biust i umięśnione ramiona. Wygląda, jakby nałożyła makijaż przed chwilą, choć mamy za sobą sześciogodzinną podróż. Nie pamiętam, kiedy ostatnio malowałam usta, nie wspominając już o depilowaniu nóg, a moje ramiona straciły sprężystość wypracowaną podczas cotygodniowych zajęć pilatesu i niedługo zaczną przypominać dzioby pelikanów.

Dawniej Kate i ja byłyśmy mniej więcej tego samego wzrostu i postury – metr sześćdziesiąt pięć, szczupła budowa ciała – więc mogłyśmy wymieniać się ubraniami, ale teraz wszystko wygląda inaczej. Nigdy nie zazdrościłam jej figury i staram się z nią nie porównywać. Na litość boską, urodziłam dziecko! Minie trochę czasu, zanim znowu wbiję się w obcisłe džinsy.

– Zarezerwowałam stolik w restauracji, o której mówiła mi przyjaciółka – oznajmia Kate, nieświadoma, jak bardzo porównywanie się z nią wyszło na moją niekorzyść. – Na dziesiątą.

Zerkam na zegarek. Dochodzi siódma.

– Cholera – rzucam i tłumię ziewnięcie. – Normalnie o dziesiątej dawno już śpię.

– Wyśpisz się po śmierci, Orla. – Odstawia kieliszek i puszcza do mnie oko.

Jęczę. Dawniej, gdy jako dwudziestoparolatki mieszkaliśmy razem w małym mieszkanku w Stoke Newington, imprezowaliśmy w każdy piątek i sobotę. Balowaliśmy do rana, a wracając do domu, przechodziliśmy obok piekarni na Brick Lane albo kebabowni na rogu Old Street i opychaliśmy się jak głupie, a w końcu padałyśmy na łóżko i spałyśmy do późnego popołudnia.

Kate musi widzieć moją minę, kiedy zastanawiam się, dlaczego jestem taka zmęczona i gdzie podziały się pokłady młodzieńczej energii, bo mówi:

– Dobra. Zdrzemnij się, a ja obudzę cię o dziewiątej. – Uśmiecha się. – Chodź, obejrzymy sypialnię.

Spieszę za nią. Podekscytowane jak dzieci otwieramy kolejne drzwi i odkrywamy sekrety mieszkania. W lśniącej czystością kuchni są nowoczesne sprzęty, a stół jest tak duży, że spokojnie mogłoby przy nim usiąść dwanaście osób.

– Jak, do diabła, znalazłaś to mieszkanie? – Zachwycom się, otwierając szafki i podziwiając stojącą w nich porcelanę i delikatne kieliszki do wina.

– Przez Airbnb – odpowiada Kate. Zagląda do lodówki pełnej butelek z wodą, kartonów mleka, jajek i kawy. – Właściciel mieszka chyba na dole. To jego mieszkanie, ale je wynajmuje.

– Ile kosztowało? – pytam ostrożnie.

– Tym się nie przejmuj. – Kate uśmiecha się znacząco.

– Toby płaci.

Patrzę na nią z ukosa.

Wzrusza ramionami.

– Zapomniał unieważnić moją kartę kredytową. Nie martw się, nie zauważy.

Kręcę głową i śmieję się.

– Gnojek jest mi to winien – mówi, a ja w pełni się z nią zgadzam. Nigdy nie przepadałam za byłym Kate, a po tym, jak ją zdradził, przestałam udawać, że kiedykolwiek go lubiałam. Nie jest nawet przystojny, co nie znaczy, że gdyby był, wybaczyłabym mu. Nie pojmuję, jak taki przeciętniak mógł zdradzić kobietę, o jakiej goście z jego ligi mogą tylko pomarzyć.

Nigdy nie rozumiałam, co Kate w nim widziała, w jego łysej jak kopuła głowie i nadmiernie owłosionym ciele, choć pewnie ma charyzmę i – jak często żartowała – niscy, łysi faceci w łóżku bardziej się starają. Wolę sobie tego nie wyobrażać.

W mieszkaniu są dwie ogromne sypialnie: główna, z przylegającą do niej marmurową łazienką, i druga, mniejsza, która i tak jest ładniejsza od wszystkich pokoi hotelowych, w których miałam okazję mieszkać. Wszystko tu jest białe – przypominająca biały obłok kołdra, poduszki, ściany, stojący w kącie fotel firmy Eames, lniane zasłony – ale ktoś, kto urządzał to pomieszczenie, przemycił tu i ówdzie kolorowe akcenty, żeby nie wyglądało zbyt sterylnie. Na łóżku równo jak od linijki leżą poduszki w niebiesko-żółte pasy, a jedną ze ścian wyłożono ślicznymi płytkami ceramicznymi z niebieskim wzorem. Całość prezentuje się jak wnętrze z magazynu „Condé Nast”.

– Ty bierzesz tę dużą – decyduje Kate.

– Nie – protestuję. – Wezmę tę. Jest super.

– Nalegam – upiera się moja przyjaciółka. – Zaslługujesz na nią – dodaje i zanim udaje mi się powiedzieć coś jeszcze, popycha swoją walizkę w stronę mniejszego pokoju. Jej walizka jest tak wielka, że leciała w luku bagażowym, podczas gdy ja zabrałam tylko bagaż podręczny. Kate twierdzi, że ma za dużo przyborów toaletowych i butów, żeby zmieściły się w małej torbie podróżnej. To dla niej typowe. W mieszkaniu, które dzieliła z Tobym, w drugiej sypialni urządziła garderobę, a w trzeciej przechowywała buty i torebki.

Wtaczam swoją walizkę z urwanym kółkiem do głównej sypialni, którą urządzono podobnie jak tę mniejszą, i padam na łóżko. Za oknem na sinym niebie płyną puszyste białe obłoki. Cudownie jest tak leżeć i czuć, jak stres nagromadzony przez ostatnich kilka lat opuszcza moje ciało. To niesamowite, co potrafi zdziałać wygodne łóżko, perspektywa beztróskiego weekendu i przespanych nocy.

Minutę później do pokoju wchodzi Kate i kładzie się obok mnie. Jej ramię ociera się o moje. Leżymy w ciszy, gapiąc się na chmury, które kolorem przypominają watę cukrową.

– Tak się cieszę, że to zrobiliśmy – odzywam się po chwili.

– Ja też – przyznaje Kate.

Odwracam się twarzą w jej stronę i zdumiewa mnie smutek, z jakim wpatruje się w okno. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie płakała, ale uświadamiam sobie, że to promienie zachodzącego słońca zabarwiają jej twarz na różowo. Kate nie należy do osób, które się smucą. Kiedy coś ją martwi, robi się sarkastyczna. Nigdy się nad sobą nie rozczuła. Zanim poznała Toby'ego, jeśli rzucił ją chłopak, nie płakała, tylko śmiała się i mówiła: „Nie ma tego złego, na jednym chujku świat się nie

kończy”.

Jeśli kiedykolwiek straciła klienta, sięgała po telefon i szukała jeszcze grubszej ryby. Nawet gdy dowiedziała się, że podczas swoich delegacji do Seulu czy Szanghaju Toby sypiał z dziewczynami do towarzystwa, nie płakała ani nie zakopała się w pościeli, nie zajadała się lodami, jak zrobiłabym to ja. Nie, zamiast tego wzięła jego kartę kredytową, zarezerwowała lot pierwszą klasą na Mauritius i spędziła tydzień w hotelu Four Seasons, gdzie leżała na plaży, sączyła koktajle i uprawiała dziki seks z czyścicielem basenów. Jak mi się później zwierzyła, postanowiła skorzystać z mądrej rady, że najłatwiej zapomnieć o kimś, leżąc pod kimś innym. Nikt nie radzi sobie z problemami tak dobrze jak Kate. Właściwie mogłabym się od niej uczyć, tyle że moja karta kredytowa ma znacznie mniejszy limit.

Kiedy patrzę na nią w złocistym blasku zachodzącego słońca, zastanawiam się, czy ukrywa przede mną prawdę i czy przez cały ten czas, kiedy myślałam, że świetnie sobie radzi, tak naprawdę było jej bardzo ciężko. Nie zdziwiłoby mnie to, zważywszy, przez co przeszła, i teraz, kiedy o tym myślę, uświadamiam sobie, jaka byłam głupia, skoro wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Na tym polega problem z Kate: zawsze wygląda tak idealnie, że czasami człowiek nie zauważa pęknięć kryjących się pod fasadą.

Gdy przyglądam się jej uważniej, wydaje się spięta. Pod makijażem widzę cienie pod oczami, jakby źle sypiała, i przypominam sobie, że w czasie lotu była dziwnie milcząca. Skórki wokół kciuków ma obgryzione, a wiem, że robi to tylko wtedy, gdy coś ją martwi.

Nagle dociera do mnie, że jestem gównianą przyjaciółką.

Dawniej Kate i ja mówiłyśmy sobie o wszystkim. Byłyśmy sobie bliższe niż siostry, a przynajmniej ona była mi bliższa niż moja własna siostra, która mieszka w Irlandii i którą rzadko widuję. Kiedy mając dwadzieścia dwa lata, przeprowadziłam się z hrabstwa Cork do Londynu, zdesperowana, żeby wyrwać się z rodzinnego miasteczka, zamieszkałam w West Hampstead. To wtedy poznałam Kate, która wynajmowała drugi pokój w mieszkaniu.

Od samego początku miałam wrażenie, jakbyśmy się znały od zawsze. Obie byłyśmy spod znaku Strzelca, nasi ojcowie zmarli, gdy miałyśmy osiem lat, czytałyśmy magazyny plotkarskie, powieści polecane przez Richard & Judy Book Club i obie uwielbiałyśmy chodzić do klubów. W środy celebrowałyśmy nadchodzący weekend, kupując za cztery funty butelkę wina Black Tower i rozlewając ją na dwa razy do ogromnych kieliszków, żeby nie wstawać z kanapy, i robiłyśmy sobie maratony z serialem *Buffy: Postrach wampirów*. Jesteśmy przyjaciółkami, które wciąż wchodzą sobie w słowo, mówią szybciej niż pociąg do Busan, a jeśli trzeba, potrafią wyrazić wszystko minami.

Mieszkałyśmy razem przez osiem lat, aż w końcu przeniosłam się do Roba. Zresztą nawet wtedy widywałyśmy się co najmniej raz w tygodniu, a między spotkaniami wisiłyśmy na telefonach. Teraz uświadamiam sobie, że ostatnio zdarzało nam się nie rozmawiać tygodniami, a jeśli już to robiłyśmy, zawsze byłam rozkojarzona albo rozłączałam się w połowie zdania, żeby zażegnać jakiś domowy kryzys.

Ale jeśli mam być szczerą, nie byłam dobrą przyjaciółką, jeszcze zanim Marlow przyszła na świat. Trzy lata nieudanych

prób zapłodnienia in vitro zmieniły mnie w wiecznie skrzywioną marudę, jak mówił o mnie mój brat. Byłam przygnębiona i bez reszty pochłonięta sobą. Kate starała się okazywać mi zrozumienie, lecz ponieważ sama nie chciała mieć dzieci, nie była w stanie pojąć, dlaczego to, że nie mogę ich mieć, tak bardzo mnie dobija.

Kiedy pół roku temu zerwała z Tobym, dzwoniłam do niej częściej, ale Marlow miała zaledwie pięć miesięcy, a ja karmiłam piersią i chodziłam tak niewyspana, że czułam się, jakbym mieszkała na dnie głębokiej studni. Zresztą naprawdę myślałam, że nic jej nie jest – wydawała się taka radosna. Jak zawsze parła do przodu, nie oglądając się na to, co było. Może jednak nie zauważyłam, że to wszystko było ściemą i że wcale nie radziła sobie tak dobrze, jak mi się zdawało.

– Brakowało mi naszych babskich weekendów – wyznaję i biorę ją pod rękę.

Gdy z uśmiechem odwraca się w moją stronę, smutek znika jej z twarzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a ja zastanawiam się, czy przypadkiem tylko mi się nie zdawało. Może widzę w niej to, co mnie samą zżera od środka?

– Tak – rzuca. – Ile to czasu minęło?

Zastanawiam się.

– Co najmniej dwa lata – mówię, dokonawszy w głowie szybkich obliczeń. – Bo w zeszłym roku byłam w ciąży.

– Dłużej. Wcześniej były próby in vitro. Myślę, że ostatni raz wyrwałyśmy się razem z Londynu jakieś cztery lata temu.

– To nie mogło być aż tak dawno – obruszam się i marszczę brwi, ale możliwe, że ma rację. – Gdzie wtedy byliśmy?

– W Walencji – odpowiada bez zastanowienia.

– Tak, było cudownie. – Przypominam sobie butikowy hotel, w którym się zatrzymałyśmy, łóżka z baldachimami i kominki.

– Pamiętasz Paryż? – pyta Kate. – I ten podły hotelik na Marais?

Śmieję się.

– Boże, pamiętam mus czekoladowy, który jadłyśmy w knajpce przy place des Vosges. Nigdy nie zapomnę tego smaku. W życiu nie miałam w ustach nic lepszego.

– Tylko nie mów tego Robowi. – Kate chichocze.

– Powiedziałaś Amerykaninowi ze stolika obok, że znasz francuski...

– Dlatego zamówił coś, co według ciebie było kaczką, a w rzeczywistości świńskim ryjem.

Obie parskamy śmiechem na to wspomnienie.

– To było dawno temu, przed smartfonami i apkami translatorskimi.

Leżymy, wyliczając wszystkie miejsca, w których byliśmy razem, poczynawszy od wypadu do Paryża. Wybrałyśmy się tam pociągiem Eurostar. Jechałam nim pierwszy raz i czułam się taka obyta w świecie. Kupiłam nawet beret w sklepie Accessorize, żeby wyglądać jak rodowita paryżanka. Ale kiedy zobaczyłam, jak naprawdę ubierają się Francuzki, schowałam go do torby i kupiłam apaszkę, choć nie potrafiłam zawiązać jej tak elegancko jak one.

Po wypadzie do Paryża Kate i ja postanowiłyśmy, że do końca życia raz w roku będziemy wyjeżdżać gdzieś na weekend, za każdym razem wybierając inne miasto. Śmiałyśmy się, że do dziewięćdziesiątki zjeździmy cały świat i zostaną nam

już tylko leżaki nad morzem w ulubionym kurorcie seniorów Margate. Złożyłyśmy obietnicę i dotrzymywałyśmy jej przez lata. Zauważyłyśmy, że z roku na rok zatrzymujemy się w coraz lepszych hotelach, jadamy w coraz bardziej wytwornych restauracjach, a w sklepach wolnoćlowych kupujemy coraz droższe alkohole. W końcu jednak złamałam przyrzeczenie.

– Przepraszam, że przez jakiś czas nigdzie nie wyjeżdżałyśmy – zwracam się do Kate, czując, że ogarnia mnie poczucie winy.

– To nic. – Ściska moją dłoń. – Ważne, że tu jesteśmy. Wykorzystajmy to na maksa. – Wstaje i sięga do szafki nocnej po pusty kieliszek. – Zdrzemnij się. Obudzę cię za dwie godziny i skoczmy na kolację.

Rozdział drugi

– Pobudka! – mówi Kate i potrząsa mnie za ramię.

Mrugam rozespana i próbuję usiąść, ale jestem półprzytomna i zdezorientowana. W pokoju jest ciemno, a gdy moja przyjaciółka włącza lampkę na szafce nocnej, mija kilka sekund, zanim dociera do mnie, gdzie właściwie jestem.

– Dziewiąta piętnaście – rzuca Kate. – Czas wstawać.

Ziewam i opuszczam nogi na podłogę, chociaż kusi mnie, żeby obrócić się na drugi bok, naciągnąć kołdrę na głowę i zasnąć. Chwilę później, kiedy odzyskuję ostrość wzroku, widzę, że Kate jest gotowa wyjść na miasto. Wygląda obłądnie w krótkiej czarnej sukience z motylkowymi rękawami i złotych szpilkach, które podkreślają jej opalone smukłe nogi. Na myśl o ubraniach, które spakowałam do walizki, czuję ucisk w żołądku. Wiedząc, że Lizbona to miasto na wzgórzach, nastawiłam się na chodzenie i zwiedzanie. Nie wzięłam szpilek, tylko adidasy i parę sandałów, i wiem na pewno, że nie zabrałam niczego równie wystrzałowego jak jej kiecka. Zresztą nie mam niczego takiego. Kate ma mnóstwo boskich sukienek; po części dlatego, że uwielbia ciuchy i zakupy, no i ma na to wszystko kasę, a po

części dlatego, że pracuje przy promocji filmów i często bywa na premierach oraz towarzyszących im imprezach, na których – podobnie jak królowa – nigdy nie pokazuje się dwa razy w tej samej kreacji.

Podczas gdy Kate wlewa mi do kieliszka resztkę szampana, otwieram torbę i przetrząsam jej zawartość: džinsy, letnia sukienka na ramiączkach, szorty, koszula, bluza z kapturem, kilka koszulek i flanelowa piżama w szkocką kratę. Wśród tego wszystkiego jest kupiony w H&M top z cekinami, który zamierzałam włożyć do džinsów, gdybyśmy wybrały się do restauracji, ale nie spodziewałam się, że wyskoczymy do lokalu z gwiazdkami Michelina. Myślałam, że będziemy jadały w małych lokalnych knajpkach, w których nie są wymagane wyjściowe stroje.

– Nie wiem, co włożyć – rzucam poirytowana i wpycham top z powrotem do torby. Mogła mnie uprzedzić, że zarezerwowała stolik w wykwintnej restauracji.

– Pożyczyć ci coś? – pyta, po czym nie czekając na moją odpowiedź, wychodzi i mnie woła.

Jej pokój nie jest już oazą bieli; wygląda, jakby został splądrowany przez wyjątkowo zdesperowanego złodzieja. Wszędzie walają się ubrania i buty. Tak samo było, kiedy mieszkaliśmy razem. Doprowadzało mnie do szału to, że zostawiała wszędzie buty, kurtki, torby, brudne talerze i kubki, zupełnie jakby wychowywała się w pałacu pełnym sprzątającej po niej służby, a tak naprawdę dorastała na osiedlu mieszkaniowym w północnym Londynie.

Kiedy się jej czepiałam, tłumaczyła mi, że życie jest za krótkie, żeby przejmować się odrobiną bałaganu, i przekonywała

mnie, że lepiej wyskoczyć do pubu albo na zakupy. W końcu moje zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne brały nade mną górę i zabierałam się do sprzątanía, a Kate, widząc, jak na kolanach szoruję podłogę w łazience, dołączała do mnie niechętnie i zawsze przy tym marudziła. Gdy dostała awans i zaczęła zarabiać więcej, od razu zatrudniła kobietę, która raz w tygodniu przychodziła sprzątać.

Teraz patrzę, jak w pośpiechu wrzuca kilka rzeczy z powrotem do walizki, zamyka ją, a zaraz potem podnosi leżącą na podłodze sukienkę i wyciąga w moją stronę. To niebieska mini z jedwabiu żakardowego i chociaż bardzo mi się podoba, jestem pewna, że się w nią nie wbiję, a próbując ją zdjąć, będę wyglądała przekomicznie, jak wijąca się larwa wyłaząca z kokonu. Widząc moją minę, Kate ciska kieckę na podłogę i sięga po długą haftowaną sukienkę z głębokim dekoltem.

– Masz – mówi i przykłada ją do mnie. – Przymierz tę.

Idę z sukienką do pokoju i zamykam za sobą drzwi. Nie chcę rozbierać się przy Kate. Ku mojemu zaskoczeniu sukienka – od znanego projektanta – leży na mnie całkiem dobrze, choć ma tak cienkie ramiączka, że muszę zdjąć stanik. Obawiam się tego, ale na szczęście jest odcinana pod biustem, przez co znacznie podnosi mi piersi. Nigdy dotąd nie nosiłam sukienek maxi, ale patrząc na siebie w lustrze, zaczynam się zastanawiać, czy teraz, kiedy stuknęła mi czterdziestka, nie powinnam zmienić nieco stylu.

Blat jest zastawiony flakonikami z serum i różnymi kosmetykami do makijażu oraz stylizacji włosów. Biorę lokówkę i próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz robiłam z włosami coś poza tym, że umyłam je i związałam w kucyk

albo upięłam w niedbały kok.

Kate zagląda do pokoju.

– No, no! – woła i wchodzi do środka. – Świetnie w niej wyglądasz! Musisz ją zatrzymać.

Zaczynam protestować, ale mi przerywa.

– Nie, nalegam. Na tobie wygląda dużo lepiej niż na mnie. Patrz na te cycki! Są jak arbuzy! Ale ci zazdroszczę. Może ja też powinnam zostać matką? – Wyjmuje mi z ręki lokówkę. – Zrobić ci włosy?

– Tak – proszę.

Odsuwa na bok kosmetyki, żeby podłączyć lokówkę.

– Niezły! – Podnosi mój stanik i rzuca nim we mnie.

– Rob kupił mi go na walentynki – mówię i łapię go. To jedwabny usztywniany biustonosz w może nie najseksowniejszym cielistym kolorze, ale liczy się marka. Agent Provocateur. Rob nie jest mistrzem, jeśli chodzi o kupowanie prezentów, muszę więc przyznać, że w tym przypadku naprawdę się wykazał. Zwykle kupuje mi skarpetki w Marksie & Spencerze, voucher do Amazona albo perfumy, które wybrał ze względu na fantazyjny flakon, a które pachną jak coś, co bardziej pasuje do Joan Collins.

Kiedy czekamy, aż lokówka się nagrzej, Kate sięga po paletę cieni do powiek i pędzelek i zaczyna robić mi makijaż. Dawniej, gdy szykowałyśmy się na wielkie wyjścia, byłam dla niej płótnem, na którym realizowała się jako Picasso makijażu. Czując, jak miękki pędzelek muska moje powieki, uświadamiam sobie, jak bardzo brakowało mi robienia się na bóstwo. W życiu przed Marlow każdego ranka spędzałam bite piętnaście minut, nakładając kremy i robiąc make-up. Teraz mam szczęście, jeśli

pamiętam, żeby użyć dezodorantu.

Skończywszy swoje dzieło, Kate odwraca mnie twarzą w stronę lustra, a ja gapię się oniemiała, bo nie rozpoznaję samej siebie. Wzdłuż linii rzęs nałożyła cień w kolorze palonego oranżu; sama bym się na niego nie zdecydowała, ale podkreśla moje niebieskie oczy, przez co wydają się niemal kobaltowe. Nie wiem, jakiego pudru użyła, lecz nadał mojej skórze blask i zamaskował upiorną bladość.

– Gorąca mamuśka – ogłasza triumfalnie Kate.

Czerwienię się na ten komplement. Od dawna nie myślałam o sobie, że jestem seksowna czy choćby ładna. Trudno o to, kiedy masz szwy na waginie, a z piersi cieknie ci mleko. Teraz myślę jednak, że może nie wszystko jest stracone i wciąż jeszcze mam to coś, a jeśli nie „to coś”, to może coś innego. Stojąc obok Kate, może nie czuję się jak Kopciuszek, który nagle rozkwitł, ale też nie jak jej brzydsza siostra.

– Zamówię ubera – mówi moja przyjaciółka i sięga po telefon.

Kilka minut później wychodzimy z mieszkania. Kate stuka obcasami, podczas gdy ja idę za nią, sprawdzam, czy drzwi są zamknięte i czy zapisałam w telefonie adres, na wypadek gdybyśmy się upiły i nie pamiętałabym, dokąd mamy wrócić.

Mój gen rozsądnej matki aktywował się na długo przed urodzeniem Marlow. Zawsze myślę naprzód i zamartwiam się wszystkim, podczas gdy Kate nie zawraca sobie głowy czymś, co może się nie wydarzyć. Może to kwestia osobowości, ale z pewnością ma to związek z moją pracą. Jestem kierowniczką działu HR w dużej firmie deweloperskiej zatrudniającej setki ludzi – a przynajmniej byłam nią, zanim poszłam na urlop

macierzyński – więc obsesyjnie pilnuję, by przestrzegano wszystkich zasad, i dbam o najdrobniejsze szczegóły. Ocena ryzyka jest częścią mojej pracy, a bycie dobrze zorganizowaną to podstawa. Tymczasem życie Kate upływa na kombinowaniu, kadzeniu aktorom i zabieganiu o względy szefów wielkich wytwórni. Bez przerwy ma do czynienia z kryzysami i musi szybko podejmować decyzje.

Rozmyślanie o pracy wywołuje dreszcz podniecenia, jednak trwa on krótko i chwilę później zastępuje go poczucie winy. Źle się czuję, przyznając sama przed sobą, że nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do firmy. Myślałam, że będę zachwycona urlopem macierzyńskim, i chociaż planowaliśmy z Robem, że zostanę w domu na rok, zaczynam się zastanawiać, czy dziewięć miesięcy nie wystarczy. Niełatwo jednak przyznać, że wołałabyś pójść do pracy, zamiast zabierać dziecko do klubu Monkey Music albo na zajęcia ruchowe.

Czasami znajduję pocieszenie w chatroomach dla matek, gdzie kobiety takie jak ja narzekają na monotonię życia w domu; czuję się wtedy mniej samotna, wciąż jednak brakuje mi odwagi, żeby opowiedzieć komuś o tym, jak bardzo jestem sfrustrowana. Boję się, że wezmą mnie za samolubną i straszną, zwłaszcza po batalii, jaką stoczyłam o to, żeby w ogóle urodzić Marlow.

Kiedy Kate i ja mijamy drzwi mieszkania pod nami, otwierają się i drogę zagradza nam mężczyzna.

– Cześć – mówimy.

Mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, z rzędnącymi włosami i w okularach lenonkach, przygląda się nam z uwagą.

– Cześć – rzuca i podaje Kate szczupłą dłoń. – Sebastian.

Miło cię poznać. Jestem właścicielem mieszkania, które wynajęłyście. – Mówi dobrze po angielsku z ledwie słyszalnym akcentem.

– Fajnie. – Kate ściska jego dłoń. – Ja jestem Kate, a to – wskazuje na mnie – Orla.

– Miło mi cię poznać – mówię.

Widząc, że jego wzrok zatrzymuje się na chwilę na moim dekolcie, rumienię się poniekąd ze wstydu, a poniekąd z dumy. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jakiś mężczyzna patrzył na mnie w ten sposób, nawet Rob.

– Przyjechaliście same? – pyta.

– Tak, tylko my. – Kiwam głową.

– Wychodzicie? – dopytuje się, chociaż to raczej oczywiste.

– Tak, na kolację – dodaje zniecierpliwiona Kate. – Nasz uber czeka.

Sebastian nie rusza się jednak.

– Chciałem się tylko przywitać. Gdybyście czegoś potrzebowały, czegokolwiek, dajcie znać. Chętnie pomogę. Pracuję w domu i jestem tu przez cały weekend, więc jak coś, po prostu przyjdźcie.

– Świetnie. Dziękuję. Jak coś, damy znać. – Próbuję go ominąć, ale się nie rusza.

– Gdybyście chciały, żebym pokazał wam, jak korzystać z wanny z hydromasażem... – dodaje nieco piskliwym, niepewnym głosem.

– Na pewno sobie poradzimy – mówi Kate z kwaśnym uśmiechem i przeciska się obok niego.

– Dziękujemy – bąkam i również mijam go z przylepionym do twarzy uprzejmym uśmiechem.

– Miłej kolacji! – woła za nami Sebastian.

W uberze Kate poprawia szminkę, używając aparatu w telefonie jako lusterka, a ja patrzę za szybę, podziwiając miasto nocą: oświetlony zamek na wzgórzu i olśniewający most na rzece, który wygląda dokładnie jak Golden Gate, choć poza tym Lizbona w niczym nie przypomina San Francisco. Jest na wskroś europejska. Tutejsze budynki stanowią mieszaninę architektury barokowej, romańskiej, a nawet gotyckiej. Wiem to wszystko, bo czytałam przewodnik. Miejsce, w którym się zatrzymałyśmy, Alfama, to stara mauretańska część miasta, prawdziwy labirynt brukowanych uliczek, które pną się i opadają po zboczach wzgórz. Pięknie tu i urzeka mnie magia tego miejsca z jego stromymi schodami, wodospadami kwitnących różowo bugenwilli i kolorową murarką. Czuję się, jakbym cofnęła się w czasie albo przeniosła na karty powieści fantasy.

Poprawiwszy szminkę, Kate otacza mnie ramieniem i przyciąga do siebie, żeby zrobić nam selfie. Odwraca się w moją stronę i całuje mnie w policzek; chwilę później ściera z niego czerwony ślad, który zostawiła. Zaraz potem ujmuję moją twarz w dłonie.

– Wiesz, że cię kocham, prawda? – pyta z nietypową dla niej powagą.

– Oczywiście – odpowiadam speszona.

– To dobrze.

Zastanawiam się, skąd ta nagle deklaracja miłości i przyjaźni. Cały czas powtarzamy sobie, że się kochamy, choć ostatnio rzeczywiście jakby rzadziej. Kate musi być pijana. Zwykle ma mocną głowę, ale kiedy jest wcięta, robi się uczuciowa. To jedna z rzeczy, które ją zdradzają.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką – mówi z takim przekonaniem, jakby bała się, że mogłabym to zakwestionować.

– Ty moją też – odpowiadam ze śmiechem.

– Nigdy o tym nie zapominaj – dodaje i patrzy mi w oczy tak, że śmiech więźnie mi w gardle.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).